Raymond F. Jones

Dział dla Dzieci

(The Children's Room)

Fantastic Adventures, September 1947
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Bill Starbrook usiadł ostrożnie w swoim zmaltretowanym stroju wieczorowym i wziął do ręki ostatni „Journal of Physics”. Wcześniej miał czas na przeczytanie zaledwie pierwszych trzech stron artykułu Sandersona o emisjach jądrowych. Potem wyszli z Rose na jedno z tych, eufemistycznie przez nią określanych, „wydarzeń wieczornych”. Teraz, o drugiej nad ranem, próbował strząsnąć z siebie i swojego mózgu mgiełkę wywołaną paskudnym, zadymionym powietrzem i jeszcze gorszymi trunkami serwowanymi w kabarecie.

W końcu dał sobie spokój z czytaniem. Próby utrzymania się na bieżąco w swojej dziedzinie nauki, były raczej bezskuteczne. Ale to była cena, jaką płacił za stanowisko Głównego Inżyniera takiego przedsiębiorstwa jak Bradford Electronics. Działania komercyjne ważniejsze niż badania, a dżin fundowany przez klienta jest zawsze najlepszy.

Jego dzień, jednak, nadchodził. Był już niemal gotów do tego by wyrwać się na wolność, jako niezależny konsultant.

Kiedy wstał, chcąc odłożyć Journal, przypadkowo spojrzał na koniec stołu, do którego zmierzał. Leżała tam jakaś nowa książka, której nigdy wcześniej nie widział. Wrzucił Journal do koszyka z magazynami i podniósł nieznajomą książkę. Należała do małego Walta. Dzieciak zawsze znosił dziwaczne tomiszcza z biblioteki uniwersyteckiej i bibliotek publicznych. Jego umysł, o IQ 240, był tak dociekliwy, jak u ciekawskiego szczeniaka. Chętnie przeczytałby wszystko, co mu wpadnie w ręce.

To obecne tomiszcze, sądząc po okładce, wyglądało jak coś wyszperanego w bibliotece prawa starożytnego lub medycyny. Walt czytał równie dużo kiepskich komiksów, co każdy inny przeciętny dziesięciolatek w okolicy, ale żarłocznie pochłaniał również wszystko inne, od Żywotów Plutarcha do Journal of Physics.

Starbrooka nieco zaintrygowało odkrycie, że potężnie wyglądające tomiszcze, które trzymał w rękach okazało się być tylko książką z bajkami.

Z ciekawością przeglądał kolejne strony. Nie było żadnych reguł dla bystrej, palącej dociekliwości chłopięcego umysłu. Może nie powinien się dziwić, że tym razem znalazł on rozrywkę oferowaną przez bajki, zamiast szukać intelektualnej przyjemności w teorii atomu. Jego rówieśnicy przez cały czas ograniczali się do tak płytkich przyjemności jak komiksy, czy baseball.

Tekst historii przyciągnął oko Starbrooka. Stwierdził, że podąża za kolejnymi zdaniami, śledząc ich znaczenie. Początkowo umykał mu dziwaczny, drażniący charakter opowieści, ale potem, kiedy czytał dalej, stał się on oczywisty. Chodziło o to, że niemal każde słowo miało podwójną treść znaczeniową. Dawało to wrażenie podobne do równoległego czytania dwóch historii. Podziwiał umiejętności niezbędne do skonstruowania takiej opowieści.

Wątek podrzędny, albo kreślący tło tematyczne, jak o nim myślał, trzymał go jak w transie. Była to ciekawa opowieść o grupie ludzi, różniących się od swojego otoczenia umysłowymi i fizycznymi cechami. Byli smutni i samotni, ponieważ byli odseparowani od siebie oraz ponieważ istoty ludzkie, z którymi byli związani, nie rozumiały ich. Wtedy, w magiczny sposób, pojawiła się książka, wędrująca po całej Ziemi i prowadząca ich, jednego po drugim, do miejsca gdzie żyli długo i szczęśliwie.

Dziwaczna opowieść, czuł jakby jakiś cień jej niezwykłego i tajemniczego znaczenia krył się tuż poza zasięgiem jego wyobraźni. Zrewidował swoją początkową opinię. Tak, to prawda, tego rodzaju rzeczy, powinny przemawiać do Walta.

Wtedy, nagle, Starbrook uświadomił sobie, że jest już czwarta trzydzieści i uda mu się złapać zaledwie dwugodzinną drzemkę, zanim będzie musiał wstać i pójść do laboratoriów.

Jednak o szóstej obudził się zaspany słysząc jakieś ruchy w sypialni. To ubierała się Rose.

— Co się stało? — spytał.

— Ćśśś, kochanie. Wracaj spać. Obudzę cię za godzinę. Walt kasłał przez całą ostatnią godzinę. Idę zobaczyć, jak wygląda. Jeśli się przeziębił, nie puszczę go dzisiaj do szkoły.

Starbrook potrząsnął gwałtownie głową, próbując oczyścić umysł z mgiełki. Wiedział, że teraz nie ma już sensu próbować ponownie zasnąć. Potem, w pracy byłby tylko jeszcze bardziej otumaniony. Popatrzył zaspanym wzrokiem na zegar i pokuśtykał do pokoju Walta.

Chłopca dusił kaszel. Kiedy spazmy skończyły się, uśmiechnął się szeroko:

— Padłem ofiarą jakiegoś drobnoustroju, tato. Wirusa. Nie chciałem cię obudzić.

Starbrook usiadł na brzegu łóżka.

— Lepiej zostań dzisiaj w domu i nie pozwól, żeby te robale mocniej się do ciebie dobrały.

— Też tak myślałem, ale Jeeezu… miałem do dzisiaj książkę z biblioteki, a oni są tak straszliwie drobiazgowi. Może ty oddałbyś ją za mnie?

— Pewnie. Gdzie trzeba ją zanieść? Która to książka?

— Ta, co leży na stole, w salonie. Jest z Działu dla Dzieci w Bibliotece Uniwersyteckiej.

— To ta dziwna książka z bajkami? Przeglądałem ją dzisiaj w nocy. Nie wiedziałem, że na Uniwersytecie mają tego rodzaju książki.

— Ja też nie wiedziałem, aż do zeszłego miesiąca. Mają tam parę całkiem niezłych książek. Wydaje ci się, że ją przeglądasz i myślisz, że tylko czytasz jakąś fajną historię, i zupełnie nagle widzisz, że właśnie czegoś cię nauczono. Jak umieszczanie lekarstwa w słodkiej polewie. Z pewnością fajnie by było, gdyby w ten sposób robili to w szkole.

Starbrook roześmiał się.

— Wygląda to na dobry system. Muszę zajrzeć do paru innych książek, które tam mają.

— Mam nadzieję, że to zrobisz — cicho powiedział Walt.

— Pewnie to robota panny Perkins. Ona zawsze jest pierwsza do wprowadzania najnowszych pomysłów, pozwalających na uszlachetnienie umysłów ludzi i zwierząt.

Bill Starbrook był dobrze znany na kampusie Hedeman University. Często bywał w znajdującej się tam doskonałej bibliotece badawczej i zorganizował dla Walta specjalne warunki korzystania z przechowywanych tam książek. Tym niemniej, był pewien, że panna Perkins, bibliotekarka, uważała ich obu za niekonwencjonalnych intruzów, którzy nie powinni mieć miejsca na szacownym kampusie uniwersyteckim.

Zatrzymawszy się tam w drodze do pracy, aby oddać książki, Starbrook spotkał przy biurku siedzącą samotnie pannę Perkins. Otworzył swoją teczkę i wyciągnął książkę Walta.

— Dzień dobry, panno Perkins. Chciałbym się zapytać, czy mogła by to pani ode mnie przekazać do Działu dla Dzieci? Dzisiaj mija termin zwrotu, a Walt jest chory.

Panna Perkins uśmiechnęła się na dzień dobry, a następnie zmarszczyła brwi.

— Dział dla Dzieci? My nie mamy działu dziecięcego.

Wzięła książkę i przyjrzała się stronie tytułowej oraz numerowi biblioteki. Zmarszczyła jeszcze bardziej brwi.

— Musiał pan się pomylić. To nawet nie ma sensu. Ta książka nie jest nasza.

Starbrook chrząknął z rozdrażnieniem.

— Byłbym pewien, że Walt mówił mi, że ma ją stąd.

— Musi być z biblioteki publicznej, chociaż przyznaję, że nie rozpoznaję oznakowania. Co to jest? Coś z matematyki?

Starbrook popatrzył na nią i w myślach policzył do dziesięciu. Dzisiejszego ranka zupełnie nie był w nastroju do żartów. Oznajmił słodkim głosem:

— To tylko książka z bajkami, którą czytał mój chłopak.

Odszedł, zanim dostrzegł, że panna Perkins surowo zmarszczyła wargi.

Kiedy szedł z powrotem, cały incydent prześladował go w myślach, z irytującym uporem. Wiedział, że rano nie był aż tak otumaniony, żeby nie słyszeć dobrze tego, co mówił Walt. Był pewien, że syn powiedział: Dział dla Dzieci w Bibliotece Uniwersyteckiej.

Nagle, kiedy niemal doszedł już do drzwi, spojrzał w lewo i zaklął pod nosem. Ponad drzwiami widniała tam bowiem tabliczka: Dział dla Dzieci.

„W co panna Perkins usiłowała go wpuścić?” — zastanawiał się przez chwilę. — „Matematyka…!”

Dziwiło go, że nie zauważył tego działu wcześniej, ale zawsze przechodził tędy w takim pośpiechu. Łatwo mógł przegapić tę informację, ukrytą w płytkiej wnęce.

Pomieszczenie nie było zbyt duże. Przy stołach siedziało w nim kilkanaście dzieciaków, w wieku od jakichś ośmiu lat, do czternastu. Bibliotekarka za ladą była niewielka i pomarszczona. Oznaki zaawansowanego wieku, roztaczające się wokół niej jak aura, mogłyby sprawiać mylne wrażenie, ale jej oczy wyglądały bystro i młodo.

Wydawała się być zaskoczona jego pojawieniem się.

— Pana jeszcze nigdy u nas nie było!

Starbrook natychmiast ją polubił. Nie było żadnych kwaśnych min w stylu panny Perkins, które kojarzyły mu się ze wszystkimi bibliotekarzami.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Nie. Mój syn, Walt, wypożyczył to u państwa. Jest dzisiaj chory, tak więc prosił mnie, abym to oddał za niego.

— Czy pan… czy pan przeczytał coś z tej książki?

Starbrooka zaintrygowało jej wyraźne zaniepokojenie i zdziwienie jego osobą.

— Tak — odparł. — Jest całkiem interesująca. Do tej pory nie śledziłem jakoś specjalnie rozwoju literatury dziecięcej.

Mała bibliotekarka wykrzyknęła:

— To takie niezwykłe! Zastanawiam się, czy nie powinnam…

Starbrook doszedł już mniej więcej do kresu swej wytrzymałości na ten dzień. Była już za dwadzieścia dziewiąta – za dwadzieścia minut miał się spotkać, na cotygodniowej konferencji, ze wszystkimi swoimi szefami sekcji.

— Teraz, muszę już iść — oznajmił. — Gdyby pani zechciała tylko zarejestrować zwrot tej książki dla mojego chłopaka…

Wydawało się, że bibliotekarka podjęła w końcu decyzję, w jakiejś sprawie najwidoczniej przekraczającej granice jej pojmowania. Z jej twarzy zniknął wyraz bezradności i kobieta łagodnie się uśmiechnęła.

— Oczywiście. Czy mógłby pan wziąć następny tom z serii, którą syn czyta? A także, czy nie zechciałby pan wyrządzić nam przysługi i zabrać ze sobą parę innych książek, aby pan sam spojrzał na nie krytycznym okiem. Mamy tutaj parę zupełnie odmiennych prac i chętnie otrzymalibyśmy uwagi krytyczne na ich temat, od jakiegoś dorosłego człowieka.

Irytacja Starbrooka rozpłynęła się pod jej uśmiechem i skinął głową.

— Z miłą chęcią.

Dzień minął, ze wszystkimi tymi irytującymi i poruszającymi nastrojami, których można było się spodziewać po takiej nocy, jakiej dzisiaj doświadczył Starbrook. Pewną ulgę przyniosła mu finalizacja zakupu patentów Cromwella – powodu rozrywek ostatniej nocy.

Po takim dniu, gdy w końcu wrócił do domu, był zmęczony, ale nie na tyle, by nie zajrzeć do Walta z wesołym uśmiechem na twarzy, po poproszeniu Rose, aby poczekała z obiadem parę minut. Wziął nową książkę i wszedł na górę, do sypialni syna.

Oczy Walta rozjaśniły się.

— Ojej, tato, myślałem, że już nigdy nie przyjdziesz! Przyniosłeś mi nową książkę! Może uda mi się namówić cię, żebyś mi ją poczytał.

— Pewnie. Chętnie to zrobię. Bibliotekarka nawet prosiła, abym wziął kilka książek dla siebie. Poczytamy zaraz po obiedzie, OK?

— Pewnie. Cieszę się, że spotkałeś pannę Edythe. To taka miła starsza pani, co nie? Pokazuje mi zawsze, którą książkę powinienem teraz wypożyczyć, żeby mi się wszystkie razem nie pomieszały.

— Czy powinieneś czytać je w jakimś określonym porządku?

— Tak. Pewnego dnia wziąłem parę nie po kolei i wyglądało jakby były w jakimś obcym języku. Muszę przeczytać najpierw te początkowe, żeby zrozumieć te trudniejsze. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie jest.

Po obiedzie Starbrook wrócił do niego i otworzył nową książkę, którą panna Edythe przesłała dla Walta.

— Naprawdę możesz to czytać, co? — spytał Walt.

— Pewnie, a dlaczego by nie?

— No cóż, nie czytałeś wcześniej początkowych książek i tak się tylko zastanawiałem — wymijająco stwierdził Walt.

Starbrook zajął się czytaniem. Opowieść była w pewnym sensie kontynuacją tego co czytał poprzedniej nocy, historią o „odmiennych” ludziach. W obszernych szczegółach mówiła jak pierwsi ludzie dowiedzieli się że są odmienni i w końcu znaleźli paru innych, należących do tego samego rodzaju. Razem przygotowali magiczną książkę i wysłali ją w drogę po całym, świecie, aby zebrać pozostałych.

Ciemność wczesno-jesiennego wieczora z wolna wypełniła pokój i słowa na stronach książki zaczęły się coraz bardziej zamazywać przed oczyma Starbrooka. Ale w głowie czuł jakby pałającą, coraz mocniejszą jasność. Opowieść, która w poprzedniej książce była podrzędna, tak jak to określał na własne potrzeby, w tej stała się podstawową. A podrzędna opowieść z tej książki była miażdżącym, nieprawdopodobnym odkryciem.

„Ty też jesteś jednym z tych 'odmiennych' ludzi” — jej niewypowiedziane, nieuchwytne przesłanie krzyczało mu w myślach, — „a to jest magiczna książka. Podążaj za nią tam, gdzie cię prowadzi, a wkrótce odnajdziesz niebo, przygotowane dla nas wszystkich!

Zatrzasnął gwałtownie książkę, ponieważ mrok stał się zbyt gęsty, aby rozpoznać słowa, ale nie potrafił uciszyć tego uporczywego przesłania tętniącego mu w głowie.

Blada twarz Walta, spoczywająca na poduszce była ledwie widoczna.

— Nie przerywaj — powiedział chłopiec. — Włącz światło i czytaj dalej.

— Walt… — Starbrook zawahał się. Nie bardzo wiedział, jak to wyrazić. — Co to wszystko dla ciebie znaczy? Czy poza samą opowieścią, odnajdujesz w tej książce coś więcej?

— No pewnie. Ona mówi, że istnieją ludzie odmienni od większości pozostałych. Pokazuje nam, jak się dostać do miejsca, w którym są ludzie tacy jak my. Gdyby tak nie było, nie potrafilibyśmy jej przeczytać. To

dlatego tak się cieszę, że ty też możesz to zrobić. Ty także jesteś jednym z nas.

Starbrook był zadowolony, że ciemność skrywała jego twarz i oczy.

— Skąd to wiesz?

— Panna Edythe mówiła mi, że inni nie chcieli uwierzyć, że w tych książkach są zwykłe słowa. Powiedziała mi, żeby z tego powodu nikomu ich nie pokazywać. Sam odkryłem, że miała rację.

Rozczarowanie zamgliło oczy Walta.

— Pewnego dnia mama wzięła jedną z tych książek i wyglądała, jakby niemal się jej wystraszyła. Powiedziałem jej wtedy, że to jest książka do algebry. Nie zauważyła różnicy, ale ciągle wydawała się wystraszona. Zostawiłem ją później dla ciebie, żebyś…

Starbrook posiadał wyobraźnię rozwiniętą w przeciętnym stopniu, jak to u inżyniera, ale wręcz się zatoczył, uświadamiając sobie implikacje tego wszystkiego. Wmawiał sobie, że w tej opowieści o „odmiennych" ludziach i ich magicznej książce, tkwił tylko nadzwyczajny realizm. Wiara w to, że ci ludzie i ich książka mają jakikolwiek związek z rzeczywistością, była czystą fantazją.

A jednak, był świadom pewnego najważniejszego, absolutnie pewnego, faktu, niemożliwego do podważenia. Wobec niego, wszelkie jego wątpliwości i ubieranie spraw w piękne słówka, były tylko strachami małego chłopca, stojącego wobec niemożliwego do uwierzenia, wspaniałego cudu.

Ta książka istniała.

I to rozstrzygało wszystko.

„Odmienni" ludzie istnieli więc naprawdę. On był jednym z nich – on i Walt należeli do tego tajemniczego klanu.

Ale, kim oni byli? Co ta niezaprzeczalna wiedza mogła oznaczać?

— Mam trochę pracy, tam na dole — powiedział Starbrook. — Jeśli nie chce ci się spać, to przyjdę do ciebie później i jeszcze trochę ci poczytam.

Poszedł do salonu i otworzył pierwszą z dwóch książek, które panna Edythe dała mu do przejrzenia.

Zaskoczyło go, że te książki nie były takie łatwe do przeczytania, jak tamte u Walta. Sam język był nieco mniej zrozumiały. Od razu zorientował się, że nie były to książki dla dzieci – a może jednak? Może to pozycje dla dzieci, które przeszły już przez stopniowy proces orientacji, przy pomocy innych książek?

W tej, nie było nawet śladu fabuły.

Książka rozpoczynała się od razu, złożoną prezentacją zasad biologii, dziedziczności i promieniowania. Szło trudno, ale w miarę czytania, wydawało się, że jego zdolność zrozumienia zawartych w tekście słów i wiedzy, stopniowo rosła. Jednak nie był sobie w stanie wyobrazić, aby ośmioletni dzieciak, jakie widział w Dziale dla Dzieci potrafił uchwycić materię tej pracy!

Rose zaszła do niego, protestując przeciwko tak długiemu przesiadywaniu, ale on nie chciał przerwać pracy. Jego umysł przeskakiwał kolejne gigantyczne przepaście i otchłanie wiedzy przekazywanej w tym wspaniałym, leżącym przed nim, wykładzie. O północy, odłożył książkę, przeczytaną do końca, mgliście uświadamiając sobie, że otrzymał i zaabsorbował wiedzę, której nauczenie się powinno mu zająć całe tygodnie.

Ale w jakim celu to wszystko? Po co takie książki znalazły się w dziale dla dzieci w bibliotece? Nadal nie potrafił ocenić prześladujących go implikacji semantycznych bajki, w której on i Walt należeli do „odmiennych" ludzi. Jak dotąd nie otrzymał żadnych wyjaśnień na czym polega ta odmienność, ani tajemniczego celu tych ludzi.

I wtedy odpowiedź pojawiła mu się przed oczyma z taką szybkością jak wybuch płomienia. Otworzył drugą z książek, której nie potrafił zrozumieć wcześniej. Zapisane w niej słowa, stały się teraz jasne i odnosiły się bezpośrednio do czytelnika:

„Teraz bez trudu zrozumiesz, że jesteś mutantem."

Wpatrywał się w te słowa, próbując wyrzucić je z głowy, ale one tam ciągle były i zadawał sobie sprawę, że są szczerą prawdą.

„Zaszedłeś już dostatecznie daleko, aby zrozumieć, co to wszystko znaczy — kontynuowała książka. — „Wiesz już o pozaziemskim promieniowaniu, które nieustannie powoduje mutacje i poznałeś niektóre z procesów, dzięki którym one powstają. Dlatego, nie powinieneś mieć trudności ze zrozumieniem tego, że jesteś jednym z wielu tysięcy 'odmiennych' ludzi, mutantów, którzy wypełniają Ziemię, ledwie zdając sobie sprawę z tego, że w jakikolwiek sposób różnią się od swoich współbraci."

Starbrook uniósł wzrok. Łatwo było uznać prawdziwość tych słów w odniesieniu do Walta. Biorąc pod uwagę jego IQ równe 240 w ostatnim teście…

Ale on, Bill Starbrook… co mogło być w nim takiego, aby wskazywało na mutację? Był całkiem niezłym inżynierem, ale nie lepszym niż parę milionów innych gości. Nie posiadał żadnych niezwykłych cech umysłu, ani ciała.

„Każdego miesiąca zachodzą tysiące mutacji" — czytał dalej. — „Większość z nich ma charakter nieaktywny, ponieważ nie dają żadnej korzyści ani danemu osobnikowi, ani całej rasie. Ale w dłuższym okresie czasu występuje nie wiadomo jak wiele tysięcy mutacji korzystnych, z których większość jest również ostatecznie tracona."

„Nie są one tracone przez rasę w wyniku jakichś wypadków, przez nieodpowiednią prokreację, albo przez jej brak. W wielu przypadkach są one tracone przez poszczególnych osobników, ponieważ odmienność, z którą się wiążą, powoduje w mniejszym lub większym stopniu nieprzystosowanie tych ludzi, w związkach społecznych. Istnieje, oczywiście wiele przeciwstawnych przykładów, w których korzystne mutacje tworzą bardziej inteligentnych, bardziej wytrzymałych i całkowicie dominujących osobników, którzy nigdy nie zostali przez siebie, czy przez związanych z nimi ludzi, rozpoznani jako mutanci. Ich cechy

charakterystyczne mogą być przekazywane przez kilka pokoleń, ale jeżeli nie są one kombinowane we właściwym programie rozrodczym, stają się recesywne i giną.”

„W dalekiej przyszłości, bardzo odległej obecnych czasów, rasa ludzka współzawodniczy z inną rozwiniętą rasą w galaktyce, która wyprzedza nas w swojej ewolucji. W celu zachowania nie tyle już wyższej pozycji, jaką osiągnęła ludzkość, ale samego jej istnienia, niezbędne jest przyśpieszenie naszych naturalnych procesów ewolucyjnych. Kosztowne i okrutne eksperymenty udowodniły, że niemożliwa jest realizacja tego celu, przy pomocy sztucznych środków. Ewolucja może postępować w efektywny sposób wyłącznie dzięki naturalnym procesom, których nie da się skopiować. Lecz to natura, poprzez swoje marnotrawstwo w przeciągu wieków cennych mutacji, właśnie jest odpowiedzialna za straszną sytuację ludzkości w przyszłości.”

„Tak więc, naszym celem jest przyśpieszenie tempa ewolucji rasy ludzkiej, poprzez ocalenie korzystnych mutacji, utraconych w przeciągu wieków.”

„Jeżeli doszedłeś razem z nami do tego miejsca, rozumiesz, że masz obowiązek dołączyć do nas, oddać swoje zmutowane właściwości na potrzeby rasy, dla wspólnego dobra.”

Starbrook musiał przerwać. To wszystko było zbyt wielkie, zbyt obce dla jego umysłu, czy też wyobraźni. On był tylko Billem Starbrookiem, Głównym Inżynierem w Bradford Electronics. Nigdy się nie spodziewał, że kiedyś może czytać jakieś tajemnicze przekazy przesyłane przez wieki, błagające go o udanie się do jakiegoś nieokreślonego miejsca dla dobra całej rasy.

Krótko się zaśmiał. Przecież to Dział dla Dzieci! Komuś z pewnością udało się stworzyć najbardziej fantastyczną, niewiarygodną bajkę na świecie. Przez chwilę nieomal uwierzył w to, że jest mutantem! Musi przekazać pannie Edythe, że te książki są bardzo realistyczne, co najmniej.

Wyszedł na ganek. W czystym, chłodnym powietrzu zimowej nocy, gwiazdy wydawały się wisieć bardzo nisko. Rasa musi wykorzystać swoich mutantów albo pozostanie w tyle, w rywalizacji o ewolucyjną doskonałość, pomyślał sobie. Zastanawiał się, jaki może być ostateczny wytwór ludzkiej ewolucji. Bez wątpienia będzie się różnił od człowieka, tak jak człowiek różni się od żyjących przed nim antropoidów i gadów.

Moje oczy spoglądają na gwiazdy, myślał. Czy gdzieś tam rozwijają się się inne rasy, przeżywające teraz swoje dzieciństwo, które w końcu będą mogły rzucić wyzwanie człowiekowi i zagrozić mu zepchnięciem na boczny tor, dzięki swej wyższości ewolucyjnej?

Odsunął od siebie tę irytującą myśl. Był pewien sposób, aby ustalić to raz i na zawsze. Widział stąd światła domu profesora Martina, przecznicę dalej, po drugiej stronie ulicy. Martin był kierownikiem katedry języków starożytnych, na uniwersytecie i czasami grywali razem w remika.

Starbrook założył płaszcz i po cichu wyszedł z domu, z jedną z książek pod pachą.

Profesor Martin był wielkim mężczyzną, z krzaczastą brodą. Zawsze przywodził na myśl Starbrookowi jednego ze starożytnych Greków, których języka nauczał.

Przywitał Starbrooka z serdecznym rykiem.

— Wejdź do środka, Bill! Miałem właśnie nadzieję, że ktoś pojawi się na miłą partyjkę pokera lub remika. Moja żona pojechała na tydzień do domu i czułem się tak samotny, jak hibernujący niedźwiedź, cierpiący na bezsenność.

Starbrook wszedł i zdjął płaszcz.

— Nie mogę długo zostać. Chciałem ci tylko coś pokazać i uzyskać twoją opinię na ten temat. Zobacz, co o tym sądzisz?

Starbrook otworzył ostatnią z książek, które przeczytał. Jej sugestywne przesłanie biło mu w oczy z każdej litery i słowa, ale on zwrócił uważnie swoje oczy na Martina.

Profesor spojrzał na niego groźnym wzrokiem.

— Skąd to masz? Z pewnością te znaki nie są podobne do żadnych, jakie widziałem wcześniej, chociaż myślałem, że widziałem już wszystkie.

Starbrook westchnął.

— Miałem nadzieję, że będziesz potrafił to odczytać i powiesz mi, co to jest. To… coś, co kupiłem w antykwariacie w miasteczku. Pewnie jakiś zwariowany żargon, coś jak Esperanto parę lat temu, tylko że gorsze.

Profesor Martin pokręcił głową.

— To możliwe. Z pewnością zupełnie nic tu nie rozpoznaję. Czy zostawiłbyś to u mnie na chwilę?

— No cóż… być może później. Już obiecałem, że teraz pożyczę to innemu przyjacielowi. To właśnie dlatego przyszedłem do ciebie, chociaż jest już tak późno.

— Och, nie ma problemu. Cieszę się, że mam jakieś towarzystwo. Tu jest dosyć samotnie, przecież wiesz…

Kiedy Starbrook w końcu ponownie znalazł się pod gołym niebem, pełen ciężar zdobytej wiedzy, runął na niego jak potężny cios.

Jestem mutantem, pomyślał. Walt jest też mutantem. Gdybyśmy nimi nie byli, nie bylibyśmy w stanie odczytać tych nieznanych liter, tak jakby były napisane zwyczajnie, po angielsku, podczas gdy Martin i inni ludzie uznają je za niezrozumiałe. A to musi oznaczać, że reszta tej opowieści jest także prawdziwa.

A jednak, ciągle nie wszystko było tu jasne. To przesłanie z odległej przyszłości, i to dziwne miejsce dla zebrania mutantów ze wszystkich wieków…

Ta mała, starsza bibliotekarka, panna Edythe, z pewnością była kluczem do tej całej sprawy. Ona znała źródło pochodzenia tych książek. Może dokładniej mu wyjaśni, o co tutaj chodzi.

Wtedy, nagle, przypomniał sobie coś, o czym nie myślał przez cały wieczór. Słowa panny Perkins: „My nie mamy działu dziecięcego!”.

Następnego ranka, kiedy panna Perkins przyszła otworzyć drzwi do biblioteki, Starbrook już na nią czekał przy wejściu. Poznała go i blado się uśmiechnęła.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry, panno Perkins.

Wszedł do foyer i odwrócił się w kierunku Działu dla Dzieci. Przez otwarte drzwi widział pannę Edythe, siedzącą już przy swym biurku. To było dziwne, ponieważ biblioteka dopiero co została otwarta. Obejrzał się do tyłu, na pannę Perkins mijającą go po drodze do biura głównej biblioteki. Patrzyła na niego – i na Dział dla Dzieci tak jakby niczego tam nie było!

Wywołało to u Starbrooka nagły dreszcz dziwnej grozy. Pośpiesznie wszedł do środka. W pomieszczeniu, przy stołach, siedziało wiele dzieci. Zastanawiał się, jak one się tutaj dostały.

— Dzień dobry, panie Starbrook — powitała go panna Edythe. — Miałam nadzieję, że spotkamy się dzisiaj rano. Czy miał pan trochę czasu, żeby rzucić okiem na te książki, na temat których prosiłam pana o opinię?

— Tak, przewertowałem je do końca.

— To doskonale. Co pan myśli o tym, co pan przeczytał?

— Panno Edythe… czy pani czytała te książki? Czy wie pani, co w nich jest?

— Dlaczego by nie, oczywiście. Każdą książkę, którą tutaj mamy przeczytałam bardzo dokładnie. To była praca mojego życia.

— Jakie więc jest wyjaśnienie tego wszystkiego?

Niewielka starsza pani, popatrzyła na niego przenikliwie swoimi jasnymi, niebieskimi oczyma, a potem wstała z krzesła, na którym siedziała przy biurku bibliotekarki.

— Proszę, niech pan wejdzie ze mną do biura — powiedziała.

Starbrook wszedł za nią. Zamknęła drzwi do niewielkiego pomieszczenia i usiadła, zapraszając go, aby zajął krzesło naprzeciw niej.

— Pański przypadek jest chyba najtrudniejszy, z jakim miałam kiedykolwiek do czynienia — zaczęła z wahaniem. — W ciągu pięciuset mieliśmy tylko jednego dorosłego, który okazał się właściwym materiałem dla naszej kolonii. Proszę mi wybaczyć, jeśli będzie się panu wydawać, że nadmiernie upraszczam pewne rzeczy, ale przyzwyczaiłam się do rozmów z dziećmi – dziećmi, jednak generalnie ze współczynnikiem inteligencji powyżej 220, tak więc, pomimo wszystko, być może oboje zdołamy się zrozumieć równie dobrze.

— Przypomina pan sobie może, w drugiej z książek, które panu dałam, określenie pana, jako mutanta…

— Właśnie o to przyszedłem panią zapytać! Ta cała rzecz jest kompletnie nie do uwierzenia, ale sprawdziłem te książki. Nawet jeden z profesorów uniwersyteckich z lingwistyki, nie potrafił ich odczytać.

— To chyba powinno znacznie uwiarygadniać prawdziwość tekstu, który pan przeczytał — zauważyła panna Edythe.

— Mówi więc pani, że naprawdę jest gdzieś grupa mutantów, którzy zostali zebrani dla… dla uratowania rasy ludzkiej?

— Nie za bardzo chcemy mówić o tym w takim melodramatycznym tonie… ale generalnie to jest naszym celem. Pracujemy nad utrzymaniem przewagi rasy ludzkiej, w obliczu opóźnienia ewolucyjnego, z powodu którego cierpimy. Jeżeli nie uda nam się utrzymać tej przewagi, to z absolutną pewnością zakończy się to naszym wyginięciem. Są oczywiście pewne prawdopodobieństwa rozwoju sytuacji, wyznaczone przez naszych naukowców, którzy znają się na tego typu rzeczach. Na razie wystarczy powiedzieć, że zbieramy wszystkich mutantów, jakich się da, z całej historii ludzkości, w celu przyśpieszenia ludzkiej ewolucji. Dzięki właściwemu wykorzystaniu tych mutantów, zamierzamy wyprzedzić ewolucyjnie, zdystansować, naszych rywali w galaktyce, którzy zagrażają naszej supremacji i naszemu istnieniu.

— **N**ie wiem nic o pańskich dotychczasowych przemyśleniach na temat mutantów. W przypadku dzieci, to proste, ponieważ uczą się one od podstaw, o prawdziwym charakterze mutacji, o tym, że niewielka zmiana w genie odpowiadającym za pewną cechę, może wytworzyć osobnika, który odróżnia się od normy dla swojej rasy, co może być bardzo korzystne zarówno dla niego, jak i dla tej rasy. Mutacje, jednak, mają generalnie tak niewielki charakter, że zazwyczaj ich posiadacz jest nieświadomy swej odrębności. To jest jedyny istotny fakt, o którym należy pamiętać, w związku z naszą pracą.

— Jednak, jeżeli nie wykryjemy tych wartościowych mutacji i nie wykorzystamy ich, pozostaniemy tak dalece w tyle strumienia ewolucji, jak to się stało w przypadku małp człekokształtnych, kiedy pojawił się człowiek.

Starbrook wpatrywał się w nią otępiałym wzrokiem, próbując ogarnąć umysłem to wszystko, co usłyszał.

— Grupa naszych ludzi, dawno temu, wyruszyła aby ocalić użytecznych mutantów z naszej rasy, od jej najdawniejszych początków. Mamy wiele metod pozwalających na osiągnięcie tego celu. Ta biblioteka jest jedną z najbardziej efektywnych. Stworzyliśmy język, w którym drukowane są nasze książki, zrozumiały jedynie dla mutantów. Istnieją pewne cechy mózgu, moglibyśmy określić je, jako powiązane z mutantami, dzięki którym jest to możliwe. To jest, jeśli występuje jakaś zmiana danego genu, w nieunikniony sposób zachodzi również zmiana innego genu w określonym położeniu, powodująca, że mózg zaczyna odbierać znacznie więcej i odmiennych bodźców. Większości z nich nigdy by pan sobie nawet nie uświadomił, ponieważ bodźce te nigdy nie występują. Ten język jest jednym z takich bodźców. Kolejną zdolnością, wynikającą z pańskiej mutacji, jest to, że mógł pan wejść do tego pomieszczenia.

— Ależ skąd, ja po prostu wszedłem! — wykrzyknął Starbrook.

Panna Edythe uśmiechnęła się.

— Tak, oczywiście. Ale czy nie zastanowiło pana, dlaczego nikt inny nie mógł tutaj wejść, podczas gdy mutanci mogli to zrobić bez żadnego problemu?

— Dlaczego… tak, ale…

— Ten napis na ścianie nad drzwiami, „Dział dla Dzieci”, nie-mutantom wydaje się tylko częścią dekoracji budynku biblioteki. Pan go odczytał, ponieważ jest w języku mutantów. W dodatku na podłodze, przed drzwiami, znajduje się złożony wzorzec, który wyznacza dla pana ścieżkę, pozwalającą wejść do pomieszczenia. To jest ścieżka, na którą nikt inny nie potrafiłby wejść, ale pańskie zmutowane zmysły podążają nią instynktownie. Dla innych, po prostu tam nie ma drzwi. Nie ma w ogóle żadnego Działu dla Dzieci.

— Ale jaka jest natura mojej podstawowej mutacji? — dopytywał się Starbrook.

— To trzeba będzie ustalić poprzez odpowiednie badania. I tutaj mam jedną ostateczną uwagę, którą muszę panu przekazać. Proszę nie oczekiwać zbyt wiele. Wśród mutantów mamy do czynienia z poważnymi rozczarowaniami. Na przykład, w moim własnym przypadku mutacja polegała tylko na długowieczności. Mam nieco ponad dziewięćset lat.

— Dziewięćset…!

Panna Edythe skinęła głową.

— Tak. Jednak z moim typem mutacji w parze idzie czynnik sterylizacji. Tak jak powiedziałam, pośród naszej grupy bywają wielkie rozczarowania.

Jej pradawne oczy wydawały się nagle spoglądać na niego z odległości całych wieków, a Starbrook potem uważał, że to właśnie chwila, kiedy spojrzał w te silne oczy, które widziały tak wiele innych stuleci, najbardziej się przyczyniła do przekonania go o prawdziwości tej całej sprawy.

— Co ja mam zrobić? — w końcu zapytał.

— Czy przyłączy się pan do nas?

— Mój syn, Walt, także?

— Musi się jeszcze wiele nauczyć, zanim będziemy mogli przedstawić mu cały plan.

— Odpowiedź na pani pytanie jest bardzo trudna — zawahał się Starbrook. — Po prostu, nie wiem…

— W sumie, to niewiele więcej, niż przeprowadzka do innego miasta — zauważyła panna Edythe. — Za wyjątkiem tego, że pańscy sąsiedzi i znajomi będą pochodzili ze wszystkich wieków i lokalizacji w czasie i przestrzeni. W pewnym sensie, stwierdzi pan, że to coś szalenie ożywczego. Oczywiście, trzeba będzie zerwać pewne więzi, przyjaciele, pańska żona… Dla pana to bardzo trudne, ponieważ pan jest dorosłym człowiekiem!

Rose!

Po raz pierwszy spadło na niego pełne zrozumienie problemu, jaki to wszystko tworzyło, w odniesieniu do jego małżeństwa. Podświadomie,

zakładał, że żona również będzie brała udział we wszystkim, czego wymagała będzie ta zmiana. Jeżeli opuszczenie Rose było jednym z warunków przyłączenia do mutantów, był pewien, że w przyszłości dadzą sobie oni radę bez jego udziału, tak jak niewątpliwie dawali sobie radę w przeszłości.

„Ale co z dziećmi?" — nagle przyszło mu do głowy. — „Czy to oznaczało, że one będą musiały odejść… ?"

W jego myślach pojawiła się nowa, zimna determinacja, kiedy mówił:

— Czy zanim zdecyduję się w tej kwestii, mogę przejść jakieś badania, które określą do czego będę się nadawać?

— Tak, możemy to załatwić od ręki. Proszę pójść za mną.

Wyszli przez inne drzwi, prowadzące do korytarza, który, jak Starbrook zdawał sobie sprawę, nie był częścią gmachu biblioteki Hedeman University. Kiedy nim szli, rzucił przelotnie wzrokiem przez szerokie okno i głośno westchnął. Na zewnątrz rozciągała się panorama zielonych wzgórz, pocętkowanych małymi skupiskami białych budynków, pełna spokoju i życia dolina, zamiast tego idiotycznego kłębowiska budynków, jakie tworzyły miasta w jego własnym wieku.

Jego przewodniczka nie dała mu czasu, by mógł przemyśleć sobie to, co zobaczył. Poprowadziła go przez drzwi, po drugiej stronie korytarza. Znalazł się w jakimś pomieszczeniu, pośród nieznajomo wyglądającego wyposażenia. Młody, profesjonalnie wyglądający mężczyzna, przywitał go z uśmiechem.

— Doktor Rogers — przedstawiła go panna Edythe. — Przeprowadzi badania. Wie o panu wszystko. Kiedy się zakończą, proszę wrócić do mojego biura.

Następnie wyszła, a doktor Rogers wskazał mu ręką krzesło.

— To prawdziwa przyjemność, dla odmiany mieć do czynienia z osobą w pełni dorosłą — oświadczył przyjaznym tonem. — Czasami te niewyrośnięte dzieciaki z IQ 250 czy 300, są trochę za mądre jak na swoje krótkie spodenki. Sam byłem jednym z nich, tak że nie powinno to być dla mnie zaskoczenie. A teraz, jeśli pan pozwoli, proszę się położyć na plecach, na tym stole…

Starbrook desperacko starał się uczepić tych fragmentów swojego umysłu, które tworzyły Billa Starbrooka, Głównego Inżyniera Bradford Electronics. To było wszystko, co mu zostało z rzeczywistości. Ten świat, fantastycznej panny Edythe, mającej dziewięćset lat, i okna, wyglądającego na zieloną dolinę, zamiast której powinny być zabudowania Hedemana, były tylko częścią jakiegoś sennego koszmaru, z którego wkrótce powinien się obudzić. Koszmaru, w którym badano go pod kątem jakichś możliwych użytecznych mutacji, mających pomóc ludzkiej rasie w próbie przeskoczenia praw ewolucji.

Udało mu się przecierpieć długie godziny badań, powtarzając sobie, w kółko raz za razem, tę fantastyczną historię. Potem, w końcu, doktor Rogers obwieścił, że skończył.

Starbrook siedział przed nim, po drugiej stronie biurka. Przed lekarzem kłębiła się masa zapisów i wykresów, zebranych podczas badań.

— Mam tutaj pełną mapę pańskich chromosomów — oznajmił powoli.

— Jakie mam mutacje, które mogłyby się przyczynić do rozwoju ewolucyjnego ludzkości?

Nastąpiła krótka chwila wahania, a następnie Rogers uniósł wzrok sponad swoich wykresów.

— No dobrze, powiem to panu wprost. Odpowiedź brzmi: żadne. Absolutnie żadne.

Przez chwilę Starbrook siedział jak ogłuszony. W czasie ostatnich kilku godzin zbudował sobie w głowie potężną konstrukcję myślową, opartą na przesłance, że był potrzebny aby pomóc ludzkości w osiągnięciu wyżyn rozwoju. Stoczył ciężką walkę, decydując jakie ofiary i poświęcenia, byłyby tego warte. A teraz…

— Żadne…? Nie rozumiem. Panna Edythe mi powiedziała… Język mutacji…

— Pański przypadek jest absolutnie niezwykły. Całość pańskich mutacji składa się tylko z charakterystyk zmysłowych, dzięki którym jest pan w stanie odczytać nasz język mutacji i znaleźć drogę do Działu dla Dzieci. Nie przypominam sobie nawet jednego przypadku w przeszłości, w którym taka mutacja nie byłaby powiązana z jakąś inną. To jest nawet nieco interesujące z czysto biologicznego punktu widzenia, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że jest pan ojcem Walta. Jednak, w praktyce, pańska mutacja nie ma zupełnie żadnej wartości.

Na te słowa Starbrook roześmiał się, a następnie powiedział, nieskutecznie starając się ukryć w swym głosie rozczarowanie i uczucie jakiegoś nieokreślonego wstydu.

— A więc, pomimo wszystko, jestem dla was bezużyteczny? Nie ma we mnie nic, co mogłoby być przydatne dla mojej rasy?

Rogers przyjrzał mu się uważnie.

— Proszę nie demonizować znaczenia tego faktu — ostrzegł. — Dla pana, jako dla konkretnej osoby, nie oznacza to absolutnie nic. Musi pan wiedzieć, że zaledwie jeden na kilkuset ludzi posiada jakąkolwiek wykrywalną mutację. Tylko jedna spośród wielu tysięcy mutacji ma prawdziwą wartość dla rasy.

— Potrafimy odrzucać dzieci, które nie mają dla nas wartości, bez ujawniania im, o co w tym wszystkim chodzi. Pański przypadek był w oczywisty sposób odmienny.

— Oczywiście — odparł Starbrook. — Chciałbym, żeby pan mnie dobrze zrozumiał. Nie mam zamiaru popaść z tego powodu w zgorzknienie. Nie miałem prawa, aby w związku z tym czegokolwiek oczekiwać. Myślę, że zawsze podchodziłem do życia nieco idealistycznie, miałem nadzieję dokonać czegoś, co pchnęłoby ludzkość wyżej, i inne tego rodzaju rzeczy. Wydaje mi się, że jakaś część mojej podświadomości, musiała całkiem mocno się tego wszystkiego uchwycić, i widzieć to jako szansę na realizację moich idealistycznych celów. No dobrze, pomówmy teraz o moim synu, Walcie.

— Walta musimy mieć. Bezwzględnie, musimy. Jego mutacje wydają się być zwieńczeniem nieznanych, nieskończenie długich procesów naturalnych, kulminujących się w potencjał, który uczyni go jednym z najbardziej wartościowych członków naszej kolonii mutantów. Jego życie zmieni rasę na wiele przyszłych pokoleń.

— On jeszcze tego nie wie?

— Nie. Nawet przy jego wysokim stopniu zrozumienia, musimy przekazywać mu informacje powoli, ponieważ on ciągle jest dzieckiem. Ale prowadzony jest przez książki, do poziomu, na którym osiągnie pełną wiedzę odnośnie swoich potencjalnych możliwości i naszych wymagań.

— Ale co z jego związkiem z nami! Nie jestem przekonany o pilności tego kryzysu, o którym tak mgliście pan wspominał – a przynajmniej nie na tyle, abym gotów był pozwolić mojemu synowi na rozpoczęcie nowego życia, z być może dosyć rzadkimi kontaktami z nami.

— Kiedy on już tutaj przybędzie i rozpocznie swoją pracę — chłosnął słowami Rogers, — nie będzie żadnych dalszych kontaktów z państwem.

Starbrook wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

— Czy chce pan powiedzieć, iż oczekuje pan od nas, że kompletnie oddamy panu naszego syna, tak jakby umarł?

— Proszę przyjrzeć się pańskim rozszerzeniom semantycznym — sucho stwierdził Rogers. — Wątpię by pana, człowieka z tego wieku, cokolwiek mogło przekonać o pilności naszego problemu, ale pomimo wszystko, chciałbym tego spróbować, z kilku powodów.

— Niech pan sobie wyobrazi, jeżeli oczywiście ma pan na to ochotę, dwie planety, na których życie miało równoległy początek i podobne formy rozwoju. Na jednej z nich, jednak, naturalny współczynnik występowania mutacji i wynikającej z nich ewolucji, jest kilka razy większy, niż na tej drugiej, a więc w chwili powstania tam człowieka – tak zwanego człowieka współczesnego – na tej drugiej zaczęły dopiero pojawiać się wielkie małpy.

— Proszę sobie dalej wyobrazić sytuację, w której planeta o wolniej ewoluujących formach życia, rozwinęła się do poziomu pojawienia się człowieka. Jak będzie wyglądała ta pierwsza planeta oraz związki między nimi obiema, w przypadku jeśli będą musiały nawiązać kontakt?

— Tak z grubsza wygląda sytuacja, która istnieje w „normalnym" strumieniu czasu, w którym została odkryta ta wyższa rasa. Stwierdziliśmy, że są oni tak dalece przed nami, jak my wyprzedzamy w chwili obecnej wielkie małpy – i tak się składa, że fizyczne zróżnicowanie między nimi a nami, jest znacznie większe niż między nami i małpami.

— **J**ak można było oczekiwać, potraktowali nas nieco lepiej, niż my byśmy potraktowali małpy – takie, dosyć sprytne małpy. Nasze podróże w kosmosie, nasze osiągnięcia mechaniczne, były dla nich niczym więcej, niż tylko dziełem sprytnych małp. Chociaż okazali się być pokojową rasą o wysokim poziomie moralności, nie potrafili znaleźć żadnej podstawy dla nawiązania z nami więzi emocjonalnych, komunikacji lub wymiany handlowej z nami. Jedynym możliwym związkiem między naszymi rasami,

podobnie jak zawsze jedynym możliwym związkiem między ludźmi i niższymi formami życia na Ziemi – była eksploatacja.

— Nasi uczeni pokazali, przy pomocy środków, których pan nawet sobie nie uświadamia, że eksploatacja ludzkości przez tych – super-ludzi – jest nieunikniona. Nadzieja zwyciężenia ich w walce i w ten sposób zapobieżenia eksploatacji przez nich Ziemi i ludzi, jest mniej więcej tak duża, jak w przypadku plemienia małp, które chciałoby zapobiec schwytaniu ich przez armię myśliwych wyposażonych we wszystkie techniczne gadżety, jakie pan zna, od radarów do bomb atomowych.

— Dla przyszłości naszej rasy, jest tylko jedna nadzieja: podniesienie nas do równego lub wyższego poziomu, w stosunku do naszych rywali. Zgodnie z naszymi przewidywaniami, musi to zostać dokonane w ciągu bardzo niewielu ludzkich pokoleń. Kolonia mutantów została utworzona zaledwie jakieś pokolenie temu, zaraz jak tylko pełny obraz sytuacji stał się oczywisty. Nasze dotychczasowe prace pokazują, że możemy być raczej pewni sukcesu, ponieważ mutacje w trakcie rozwoju ludzkości, występowały często. Pod tym względem natura zdaje się być bardzo szczodra, aczkolwiek również marnotrawna.

— Już otrzymaliśmy pokolenie następnej formy człowieka i osobnicy z tej generacji wykorzystują zdolności swoich umysłów do rozwiązywania problemów. Jak więc pan widzi, nasze możliwości rosną gwałtownie, ponieważ tworzymy kolejne formy człowieka, które zajmują się uczynieniem następnego kroku na naszej drodze.

— Ale, wróćmy do Walta. Bardzo go potrzebujemy. On nosi w sobie trzy niesamowicie wartościowe mutacje recesyjne, których nigdy wcześniej jeszcze nie odkryliśmy. Uważamy, że pozwoli on nam uczynić kolejny krok, wykraczający poza człowieka, takiego jakiego pan zna. Gdyby potrafił pan w pełni zrozumieć głębię problemu, nie ośmieliłby się pan przeszkadzać w tak krytycznym postępie. Niestety, nie możemy panu przekazać pierwszorzędnej wiedzy.

Starbrook słuchał ze stopniowo narastającym napięciem, które spowodowało ostry ból mięśni, kiedy gwałtownie pokręcił głową i zmusił się do odwrócenia uwagi od twarzy Rogersa.

— Nie wiem — stwierdził. — Po prostu nie potrafię tego wszystkiego, tak nagle, ogarnąć. Gdybym tylko ja sam mógł zobaczyć…

— Nie może pan — oznajmił Rogers z ostateczną decyzją w głosie. Zwykle, oczywiście, nie komplikujemy sobie naszych działań tego typu problemami. To tylko dzięki temu przypadkowi pańskiej osobliwej mutacji, w ogóle stał się pan świadomy naszego istnienia. Moglibyśmy działać zupełnie bez pańskiej zgody…

Starbrook poczuł nagle gwałtowny chłód przebiegający przez jego ciało. Widział już dostatecznie dużo, żeby wiedzieć, iż ci mutanci mogli zrobić wszystko, o czym mówił Rogers. Mogli wykraść Walta i skazać go na wieczne wygnanie w tej dziwnej krainie rozciągającej się za drzwiami Działu dla Dzieci.

— Powodowanie bólu u kogokolwiek jest sprzeczne z naszymi zasadami — mówił dalej Rogers. — Jest pan przecież naukowcem. Chciałbym, aby pan korzystał z lekcji udzielanych pańskiemu synowi.

Proszę uczyć się razem z nim. Zdobyć wiedzę o faktach dostarczanych przez naszą naukę i w końcu o szczegółach kryzysu przed jakim staje ludzkość. Jeżeli to wszystko pana nie przekona, być może Rada, która kontroluje te sprawy, skłoni się do pańskiego zdania, chociaż szczerze mówiąc, wątpię w to. Walt jest dla nas zbyt ważny.

— Ale w jaki sposób możecie zabrać którekolwiek z tych dzieci, nie powodując bólu? Ilu rodziców jest skłonnych wyrazić zgodę, na odebranie im ich, na zawsze? Nie możecie tak po prostu ich sobie zabrać, nie pozostawiając pustki w miejscu, w którym oni byli!

— Nie, nie robimy tego. — Rogers wahał się przez chwilę, a potem podszedł do drzwi i kogoś zawołał. Następnie usiadł z powrotem na swoim miejscu. — My nie wyrywamy tak po prostu danej osoby z jej środowiska i nie zostawiamy próżni. To powodowałoby zbyt duże zaburzenia w waszym społeczeństwie, biorąc pod uwagę liczbę dzieci, które zabieramy. Powodowałoby to do zbyt wiele bólu.

W tym momencie, drzwiami przez które zawołał Rogers, do pomieszczenia weszła jakaś postać.

— Walt! — Starbrook poderwał się ze zdumieniem. — Nie wiedziałem, że tutaj jesteś!

Chłopiec jednak nic nie odpowiedział, nie popatrzył nawet na Starbrooka z oznakami rozpoznania.

— On nie jest jeszcze ukończony — wyjaśnił Rogers.

— **C**o pan przez to rozumie? — Dopiero teraz Starbrook zauważył pusty wyraz twarzy chłopca, odpychający w swej bezmyślności. Zdjęła go zgroza i zatoczył się do tyłu, opadając z powrotem na krzesło z którego się podniósł.

— Kiedy kogoś zabieramy, pozostawiamy substytut, wstawiając go w jego środowisko — tłumaczył Rogers. — Stwarzamy homologa, podobnego do tego, którego pan widział przed chwilą, i dokonujemy zamiany, tak by nikt o tym nie wiedział, poza przyłączającym się do nas.

Przerażenie Starbrooka jeszcze się wzmogło.

— Czy wy chcecie zabrać Walta i zostawić nam to… to monstrum!

Nagły, straszny ból, wykrzywił oblicze chłopca i Rogers zerwał się z pomrukiem wściekłości. Odprowadził gdzieś chłopca, a potem wrócił.

— Starbrook! Podobno jest pan naukowcem! Niech pan zacznie zachowywać się jak ktoś taki!

— Przede wszystkim, jestem ojcem Walta. Jak możecie oczekiwać, że oddam własnego syna i zgodzę się na przyjęcie w zamian tego… tego waszego substytutu!

— Wydaje mi się, że byłem głupcem, sądząc, iż jest pan w stanie spojrzeć na tę sprawę choćby z minimalną dozą obiektywizmu. Powinniśmy po prostu dokonać zamiany bez pańskiej wiedzy, tak jak to robiliśmy w innych tego rodzaju przypadkach.

— Czy pan myśli, że udałoby się panu to zrobić, tak byśmy nie wiedzieli, że ten homolog to nie nasz syn?

— Oczywiście. Robiliśmy to już w tysiącach innych przypadków. Ten homolog jest pańskim synem pod każdym względem – a raczej będzie, kiedy zostanie ukończony. Skopiujemy każdy wzorzec emocjonalny, pamięć, instynkty, postać fizyczną, czy układ tych cech, które wchodzą w skład charakterystyki pańskiego syna. Z wyjątkiem, oczywiście, tych twórczych mutacji, wyróżniających Walta spośród innych ludzi, które nie mogą zostać powielone w homologu. Homolog w każdym aspekcie wypełni miejsce Walta w życiu. Będzie rósł, rozwijał się i reagował na bodźce swojego środowiska w sposób analogiczny jak Walt. Będzie wiódł normalne, produktywne życie. Może się ożenić, chociaż nie może się rozmnażać. Ma inteligencję porównywalną z Waltem i będzie doskonale przygotowany zawodowo. Jeżeli będziecie go kochać lub krzywdzić, jeżeli uczynicie go szczęśliwym lub smutnym, zrobicie to Waltowi. On jest Waltem. Jego emocje i uczucia są po prostu przeszczepami, można tak to określić, pobranymi od pańskiego syna. To właśnie dlatego tak go strasznie zraniło, kiedy wzgardził pan nim jako monstrum. Jaka byłaby reakcja Walta, gdyby pan go tak nazwał? Usunięcie tego bolesnego doświadczenia z umysłu homologa, będzie wymagało znacznych wysiłków.

Rogers podniósł się gwałtownie.

— Możemy dać panu trochę czasu, aby pan to przemyślał. Ostateczny sposób naszych działań, zostanie określony przez Radę. Ja jestem tylko technicznym doradcą w tych sprawach, ale mogę panu powiedzieć, że jeżeli spróbuje pan zrozumieć sprawy, które pan tu widział i o których słyszał, wyrządzi pan ogromną przysługę sobie, pańskiemu synowi i całej rasie ludzkiej. W przeciwnym przypadku, będzie to ogromna szkoda.

Rogers zawahał się.

— Być może najprostszym rozwiązaniem, byłoby, gdyby pan też tutaj się przeniósł. Dałoby się to zaaranżować, ponieważ posiada pan podstawową mutację. Mógłby pan być przydatny, jako technik. Oczywiście, dostarczylibyśmy odpowiedniego homologa, który przejąłby pozostawione przez pana sprawy życiowe.

Starbrook, z miejsca w którym siedział, mógł przez okno w przeciwległej ścianie pomieszczenia, dostrzec rozległą panoramę dziwnej doliny. Wyrażała ona wymownie spokój i harmonię, jakiej nigdy jeszcze nie widział, i stanowiła dowód rozwoju naukowego tego miejsca, o którym nawet nie marzył. Ale jego pobyt tutaj, nie miałby żadnego celu. Zaproszenie, było tylko ustępstwem wobec wybryku natury, który obdarzył go jedną, bezużyteczną mutacją.

Zaś co do pozostawienia Rose…

— Dziękuję bardzo — odparł, — ale, nie.

Rogers skinął głową i odprowadził go z powrotem do biura panny Edythe. Kiedy Starbrook opowiedział jej co się stało, była bardzo rozczarowana.

— Naprawdę, strasznie mi przykro — powiedziała, — ale, jak już wcześniej panu mówiłam, świat mutantów pełen jest rozczarowań. Myślę,

że już się więcej nie zobaczymy, ale z nadzieją wyglądamy kolejnych wizyt pańskiego syna. Czy byłby pan tak miły i wziął ze sobą parę nowych książek dla niego?

Starbrookowi, kiedy opuścił budynek biblioteki i wsiadł do samochodu, wydawało się, że świat przyjął jakiś osobliwie nierealny wygląd. Jechał mechanicznie ulicami miasta, a następnie autostradą prowadzącą na jego kraniec, na którym umiejscowiona była fabryka Bradford Electronics.

Tam zamknął się w swoim biurze, polecając sekretarce, aby chwilowo nie wpuszczała do niego nikogo. Odchylił się do tyłu w krześle, rozkładając się na oparciu. Za oknem widział zamglony, nieuporządkowany krajobraz miasta, dokładnie tak samo jak jeszcze kilka chwil temu, przez inne okno, spoglądał na harmonijną, spokojną panoramę z nieznanej epoki w przyszłości.

Nie miał złudzeń, co do prawdziwości tej dziwnej wizji. Całe jego doświadczenie przekonywało go do tego. Zdawał sobie sprawę, że widział cudowną scenerię z przyszłości i rozmawiał z ludźmi, których okres życia w kontinuum czasu, położony był daleko przed jego.

Jego umysł szwendał się na poboczach doświadczenia, przez cały czas próbując uniknąć sedna sprawy. W końcu zmusił się do stawienia temu czoła.

Walt.

Próbował odsunąć na bok w myślach czynniki subiektywne i rozważyć sprawę tak, jak mówiono mu, że powinien na nią spojrzeć naukowiec. Nie wątpił w prawdziwość słów Rogersa – i kiedy w końcu przyznał w duchu, że tak było, poczuł zupełną bezradność.

Walt chciałby tam odejść. Mógłby przekazać dalej mutacje, które posiadał, z korzyścią dla całej rasy ludzkiej.

To wszystko było po prostu aż tak proste, nie było tu żadnej alternatywy.

Ten wniosek, wyzwalał jednak falę subiektywnego sprzeciwu, który wpędzał jego umysł w klincz. Czy uczucia ojca do syna mogą zostać tak zupełnie zignorowane? Nie, to niemożliwe, doszedł do ponurego wniosku. Miały niby to zostać przeniesione na jakiś przerażający automat, stworzony na obraz i kształt jego syna. Z pewnością Rogers musiał zniszczyć to coś, kiedy zobaczył reakcję Starbrooka na jego widok.

No, i Rose.

Do tej pory, nie brał pod uwagę w swoich rozważaniach jej reakcji. Ona nie była naukowcem. Nigdy nawet nie udawała, że potrafi zrozumieć obiektywne, bezinteresowne postawy naukowe. Z pewnością, nie byłaby w stanie tego zrobić również i w tym przypadku. Przekonanie jej, że przeznaczeniem Walta jest życie z mutantami, gdzieś w przyszłości, było czymś absolutnie niemożliwym.

A co, jeśli chodzi o samego Walta?

Już wkrótce będzie musiał stawić czoła pełnemu zrozumieniu swojej własnej istoty i możliwości jakie ona mu daje. Czy on wybrałby drogę razem z mutantami?

Nie miał raczej większych wątpliwości, że tak. Geniusz umysłu jego syna, był temperowany przez stabilność emocjonalną, pozwalającą mu

widzieć całość problemu, pozwalającą mu ocenić go, bez obaw czy osobistych uprzedzeń – co jak Starbrook wiedział, powinien zrobić on sam.

Mogli, oczywiście, zabronić mu dalszego czytania książek z Działu dla Dzieci. Mogli wymusić na nim swój zakaz czysto fizycznymi środkami.

I przez całą resztę swego życia nienawidziłby ich z zapiekłym poczuciem niższości. W każdej pracy, jaką by podjął, dręczyłyby go zmory tęsknoty za utraconymi światami i zniszczonymi marzeniami. A na tym wszystkim wyrastałaby jego nienawiść – nienawiść i obrzydzenie do stwora zrodzonego przez jego rodziców.

Starbrook westchnął ze zmęczeniem i odepchnął od siebie tę ponurą wizję, Zmusił się do przyznania przed samym sobą, że jest zupełnie bezradny. Decyzja nie była w jego rękach, lecz rękach Walta.

Musi o tym wszystkim jakoś opowiedzieć Rose, pomyślał. To była najtrudniejsza część tego wszystkiego. Utrudniało ją jeszcze to, że ona nie potrafiła zrozumieć języka mutantów, ani nie mogła zobaczyć świata przyszłości. Wszystko co była w stanie, to tylko zrozumieć jego słowa.

Przez chwilę próbował, bezskutecznie, zająć się trochę leżącymi na jego biurku papierami. Nie było sensu tego kontynuować. Odsunął je na bok i wydał odpowiednie polecenia swojej sekretarce, mówiąc jej, że wróci dopiero jutro rano.

Kiedy dotarł do domu, w hallu wejściowym napotkała go Rose. Na jej twarzy widać było ogromne zaskoczenie.

— Bill! Co ty robisz w domu o tej godzinie? Czy coś się stało?

— Oczywiście, że nic, kochanie. — Uniósł ją, przekładając ręce przez jej talię. — Tylko zatęskniłem trochę, za domową kuchnią na lunch. Masz coś tam?

— Bill, ty głuptasie. Nie mam nic specjalnego – a przynajmniej nic, co mogłoby zaspokoić twoją żarłoczność. Trochę sałatki owocowej, kanapki – dla mnie i dla Walta.

— To fatalnie. Daj, co jest.

Tak będzie niedobrze. To nie jest odpowiednie podejście. Ale jak ja mam jej to powiedzieć? Co tu wymyślić…

Po lunchu, wziął ją do salonu i wyciągnęli się obok siebie na sofie.

— Bill, co się dzieje? Widzę, że coś cię trapi.

Uśmiechnął się niepewnie.

— Tak, jest coś specjalnego, co chciałbym ci powiedzieć, muszę to tylko ubrać w takie słowa, byś dobrze wszystko zrozumiała – to dotyczy Walta.

— Walt? Co się stało…?

— Coś dobrego. Stało się coś, albo raczej stanie się coś, co będzie wymagało od nas całego naszego wsparcia dla niego i zrozumienia. Kochanie, czy wiesz, co znaczy słowo mutant?

Rose uniosła brew.

— Pamiętam co nieco o nich, z kursu biologii na studiach. Sześcionogie cielęta, muszki owocowe z dodatkowymi skrzydłami…

— Tak, to mutacje negatywne. Każdy postęp w rozwoju żywych stworzeń, począwszy od powstania życia, dokonywał się zazwyczaj poprzez mutacje, zmiany w cechach potomka w porównaniu z cechami jego rodziców. Rose, Walt jest mutantem.

Niepewność, niewiara, wstrząs i wstręt przetoczyły się kolejnymi falami po jej twarzy. Potem, powoli, Bill Starbrook, zaczął jej opowiadać. Wyjaśnił kwestie związane z książkami, Działem dla Dzieci, i swoimi własnymi doświadczeniami z nim związanymi. Opowiedział jej o kolonii mutantów i ich walce o przyśpieszenie szybkości rozwoju ewolucyjnego rasy ludzkiej, aby uniknąć zepchnięcia na boczny tor i eksploatacji przez szybciej się rozwijające rasy. Na koniec wyjaśnił jej znaczenie potencjału Walta w tych zmaganiach.

Kiedy skończył, Rose siedziała nieruchomo jak słup soli, z pozbawioną wyrazu twarzą. Dotknął jej ręki, była zupełnie zimna.

— Nie spodziewasz się chyba, że uwierzę w coś takiego — w końcu powiedziała. — To nieprawda, to nie może być prawda. Tego rodzaju rzeczy się nie wydarzają.

— A jednak się wydarzyły — wskazał jej Starbrook — i to może tysiące razy tylko w naszym pokoleniu. Jedynie przez przypadek o tym się dowiedziałem, a nie Walt został nam odebrany, bez naszej wiedzy.

— Bill, to musi być jakiś zwariowany dowcip. Chyba sam nie wierzysz w ani jedno słowo swojej opowieści. Dlaczego mi w ogóle o tym mówisz?

— Są przecież książki…

— Te książki. Tak. Odkąd tylko Walt po raz pierwszy przyniósł je do domu, przez cały czas wyczuwałam ich zły wpływ. Przecież nikt nie może ich nawet przeczytać. Litery wyglądają jak jakieś kabalistyczne bazgroły ze starodawnych zaklęć i mistycyzmów. Niemal jestem w stanie uwierzyć, że odpowiadają one za te fantazje, które opisywałeś – powstałe w twoim umyśle.

— Rose. — I nagle Starbrook zrozumiał, że to nie ma sensu, ale brnął dalej. — Walt i ja potrafimy przeczytać te książki. Dla nas te litery mają znaczenie – ponieważ obaj posiadamy mutację, która pozwala nam je zrozumieć.

— Proszę cię, obiecaj mi, że nie pozwolisz aby Walt przynosił je do domu. Cokolwiek w nich jest, niemal całkowicie zawładnęło jego wyobraźnią – i twoją również. Jeżeli nie będzie miał ich koło siebie, stopniowo o nich zapomni.

Starbrook milczał. Kiedy spoglądał w oczy Rose, widział wyraźnie, że ona nigdy nie uwierzy w to wszystko. W każdym razie, nie uwierzy do chwili, kiedy nie będzie za późno…

— Zobaczę, co mi się uda zrobić z Waltem — odpowiedział zmęczonym głosem. — Nie możemy nagle zmusić go do odrzucenia tych książek. Czytałby je w bibliotece, nie zwracając uwagi na konsekwencje. Mogę ci jednak obiecać, że będę go obserwował, i nie pozwolę, by wyrządziły mu one jakąś krzywdę.

Poszedł do samochodu i odjechał. Rozczarowanie zwieszało się obłokiem ponad wszystkim, ale zdecydowanie za dużo oczekiwał, powiedział sobie. Nie mógł przecież się spodziewać, że Rose zachowa się jakoś inaczej. Jej zupełnie konwencjonalny umysł, bez żadnego przygotowania naukowego był krętą drogą wśród drzew, którą tak gigantyczne rewelacje, nie miały szans się przedostać.

Nagle uświadomił sobie, że nie ma żadnego celu. Nie chciał wracać do biura. Opuścił wzrok na teczkę, zawierającą książki panny Edythe, które dała mu dla Walta. Zapomniał mu je zostawić w domu. Skierował się do centrum i poszedł do czytelni w bibliotece publicznej. Tam, zaczął studiować nowe tytuły.

Z niemal rozpaczliwą gorliwością, chciał pochłonąć każdą rzecz związaną z kolonią mutantów, która wpadła mu w ręce. Chciał poznać świat, w którym będzie musiał żyć Walt, we wszystkich szczegółach, do jakich mógł dotrzeć.

Z lekkim wstrząsem uświadomił sobie, że w tej chwili myśli o odejściu Walta, jako o sprawie przesądzonej. Obecnie chciał już tylko zachować dla siebie każdy skrawek wspólnych doświadczeń, które będą ich łączyć, kiedy Walt nieodwracalnie przejdzie przez czas i przestrzeń, do odległej przyszłości.

Stwierdził, że obecnie czytane tytuły, stanowią całkowite odejście od tych, które przekazywano Waltowi wcześniej. Pozory fikcji i baśni, zniknęły. Informacja przekazywana teraz, miała charakter bezpośredni. Była ona tak zawiła, że Starbrook zastanawiał się, czy Walt był w stanie ją zaabsorbować, czuł jednak, że mutanci nie popełnili błędu. Wiedzieli co robią.

Zaczęły pojawiać się nowe skrawki informacji, o których wiedział, że nie są częścią wiedzy naukowej Ziemi z tego stulecia. W miarę jak czytał, posuwał się coraz dalej i dalej, w trudne nieznane obszary nauki mutantów.

Powoli jego obiektywizm naukowy, zaczął przeważać nad mieszaniną kipiących w nim uczuć. Leżał przed nim materiał, który miał trudną do przecenienia wartość dla jego własnego stulecia. Tragedią byłoby pozwolić na jego utratę, choćby bez próby zachowania go. Zastanawiał się, czy mutanci mieliby coś przeciwko temu. Wydawało się, że nie, ponieważ Rogers wiedział, że Starbrook ma swobodny dostęp do wszystkiego, co Walt otrzymywał z biblioteki, a nawet radził mu, aby podążał razem z synem.

Zdecydował się na to, by pomimo wszystko wrócić do fabryki. Kiedy tam dotarł, było dosyć późno, zbliżała się już niemal godzina zakończenia pracy, ale laboratorium fotograficzne było jeszcze otwarte. Wziął jedną z książek i przekazał ją w ręce Joe Coppersa, technika fotograficznego.

— Na kiedy możesz zrobić mi całą tę książkę? Fotokopie każdej strony, powiedzmy w trzech egzemplarzach.

Technik zmarszczył brwi, spoglądając na niezrozumiałe dla niego strony.

— A co to jest, u diabła?

Potem zerknął na twarz Starbrooka.

— Możemy to zrobić jutro — zapewnił go szybko, — jeżeli to taka pilna robota. Właśnie skończyliśmy pracę nad instrukcją do tego zestawu BC-124A…

— Dobrze, jutro po to zajrzę – i będę miał dla ciebie coś więcej.

Kiedy wrócił do domu, ani on, ani Rose nie wspomnieli o incydencie z dzisiejszego popołudnia. Razem weszli na górę, do pokoju Walta, żeby zobaczyć jak się czuje. Z jego przeziębieniem było już znacznie lepiej i chłopiec leżał na łóżku, z niecierpliwością czytając jedną z książek mutantów.

Przez twarz Rose przebiegł jedynie krótki błysk gniewu, kiedy zobaczyła książkę, a potem odpowiedziała uśmiechem, na uśmiech Walta.

— Ojej, tato, myślałem, że już nigdy nie wrócisz do domu. Mama mówiła, że byłeś na lunchu i nawet nie wszedłeś na górę, żeby zobaczyć się z leżącym plackiem w łóżku biedakiem. Co się stało?

Starbrook zwichrzył mu włosy.

— Miałem bardzo pilną sprawę, inaczej na pewno zajrzałbym do ciebie. Jak tam twoje wirusy – czy jak tam, u licha, nazywają się te małe robale…

— Okazało się, że jestem dla nich bardzo trujący. Jutro już wstaję.

— Nie do końca — roześmiała się Rose.

— Tato, co powiesz na małą partyjkę szachów, zanim mama przygotuje nam kolację? Powinniśmy mieć czas na kilka ruchów. Może być, mamusiu?

— Pewnie. Zaraz idę się tym zająć. Przyniosę wam tutaj, na tacy.

Kiedy Rose wyszła, Walt popatrzył na teczkę, którą Starbrook nadal miał ze sobą.

— Czy przyniosłeś mi jakieś nowe książki?

Starbrook skinął głową. Wyciągnął jedną z dwu, otrzymanych od panny Edythe.

— Musimy coś zrobić na przyszłość, żeby trochę je zamaskować. Denerwują twoją mamę. Boi się wpływu, jaki wywierają na ciebie. Nie może zrozumieć, w jaki sposób ty, czy ja potrafimy je przeczytać. Dzisiaj po południu, próbowałem jej trochę o tym opowiedzieć. To właśnie dlatego wróciłem do domu. Nie udało się. Chce, żebyś się ich pozbył. Musisz to zrobić, albo czytać je potajemnie.

Na chwilę dziecięca twarz Walta zrobiła się jeszcze bledsza, na tle poduszki. W końcu pokręcił przecząco głową.

— Nie mogę zrobić ani tego, ani tego. Nie potrafię przestać, dopóki się nie dowiem, dokąd mnie to prowadzi. A co do tego drugiego, to potrzebuję tak wiele zrozumienia mamy, ile tylko się da. Czy tego nie pojmujesz?

— Tak… rozumiem to, ale nie wiem, co możesz zrobić z tą sprawą.

— Dlaczego miałbym nie nauczyć jej czytać tych książek? Dla mnie ten język, czy cokolwiek by to nie było, wydaje się łatwy do zrozumienia. Ty też tak uważasz?

— Nie wiem. Nigdy nad tym nie myślałem. Czemu nie spróbować?

Pewnie, że gra jest warta świeczki, pomyślał sobie Starbrook. Nigdy nawet nie myślał, że ktoś, nie posiadający tej określonej mutacji, mógłby być w stanie nauczyć się czytać w tym języku. Ale warto było spróbować. Walt potrzebował każdej szczypty zrozumienia, jaką uda mu się zdobyć. Twarz chłopca zaczynała już zdradzać, jego niepewność i ślady nowych światów, niosących straszliwy wpływ na umysł dziecka. Cała czułość i dar zrozumienia Starbrooka, były w pełni do dyspozycji syna, ale tak mało było istotnych rzeczy, które mógł dla niego zrobić. Zastanawiał się, co się stanie, kiedy na chłopca spadnie pełna świadomość i wiedza o tym, czego się od niego oczekuje. Starbrook jednak nawet przez chwilę nie pomyślał, że Walt mógłby odrzucić nadarzającą się sposobność. Pomimo wszystkich strasznych aspektów tej sprawy, jego syn chwyciłby się kurczowo każdej szansy przyłączenia się do mutantów. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Gdyby tylko Rose znalazła dla niego choć trochę zrozumienia, zanim to się stanie…

— Może spróbuj jutro — nagle zaproponował Starbrook. — Spróbuj zainteresować swoją matkę nauką czytania tych książek.

Następnego dnia, przez całe przedpołudnie, Starbrook musiał w pełni skupić się na swojej pracy w fabryce. Budowa urządzenia nadawczo-odbiorczego dla policji utknęła i spędził poranek w laboratorium, pracując nad tym projektem razem z inżynierami. Dopiero wczesnym popołudniem udało mu się wyrwać i znaleźć trochę czasu, na pójście do laboratorium fotograficznego.

— Czy moje materiały są już gotowe? — spytał Joego Coppersa. — Mam tu dla ciebie kolejne.

— Mam nadzieję, że ty i twoi chińscy kumple wiecie, o czym to jest — wyszczerzył zęby w uśmiechu technik. Wręczył Starbrookowi gruby plik fotokopii.

Starbrook przyjrzał się im.

— To nie jest to, co ci dałem!

Joe Coppers wyglądał na zdumionego.

— Na pewno jest to dokładnie to samo. Proszę, oto oryginał. Idealnie ten sam materiał. O co chodzi…?

Starbrook ciągle jeszcze wpatrywał się w fotokopie – i w oryginalną książkę. Po chwili zrozumiał na czym polega problem. Fotokopie były dla niego kompletnie niezrozumiałe. Tylko oryginalna książka dostarczała odpowiednich bodźców dla jego zmysłów. Było w niej coś więcej niż zwykłe symbole – coś związanego z materią samej książki.

Powoli wziął książki i kiwnął głową w stronę stosu fotokopii.

— Wyrzuć te śmieci, Joe. Popełniłem błąd. Więcej tego nie zrobię. Tego nie da się sfotografować.

Technik gapił się zdumiony na odchodzącego Starbrooka. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, zaklął z pasją.

Kiedy Starbrook znalazł się z powrotem w swoim biurze, stwierdził, że jedynym sposobem na zapisanie materiału z książek, który chciał

zachować, będzie odczytanie go na głos. Zamówił natychmiast magnetofon, mogący nagrywać przez cały dzień, bez konieczności zmiany taśmy. To zajmie mu wiele, wiele godzin. Może uda mu się namówić Walta, do rejestracji części materiału, kiedy chłopiec będzie trochę bardziej zaawansowany.

Rozpoczął mozolne zadanie odczytywania książek, które miał przy sobie i pracował do późna, kiedy wszyscy inni już wyszli. Zadzwonił do Rose i powiedział jej, że późno wróci. Kiedy w końcu zdecydował się wyjść z pracy i pojechać do domu, była już jedenasta w nocy.

Spodziewał się, że światła w domu będą już pogaszone. Walt powinien już spać, a Rose zawsze kładła się wcześnie do łóżka, kiedy była sama. Jednak kiedy wjechał na podjazd przed domem, niemal wszystkie okna były zupełnie jasne.

Kiedy stanął w drzwiach, Rose uniosła wzrok i popatrzyła na niego. Z lekkim zaskoczeniem Starbrook spostrzegł, że żona trzyma na kolanach jedną z książek mutantów.

Natychmiast zauważyła jego spojrzenie.

— Boję się, Bill — powiedziała piskliwym, przepełnionym strachem głosem. — Nigdy w życiu tak się jeszcze nie bałam.

— Rose…!

— Walt próbował, mnie nauczyć czytania tych książek. Pozwoliłam mu na to, tak żeby poprawić mu humor, ale zorientowałam się, że potrafię to zrobić. Już jestem w stanie wychwycić pojedyncze słowa i zdania, a tu i ówdzie, nawet całe akapity. Och, Bill, ja nie chcę tego czytać!

— Ale musisz – teraz, kiedy już wiesz, że potrafisz to przeczytać — rzekł cichym głosem. — Przecież wiesz, czy nie?

Skinęła głową, z twarzą spiętą strachem.

— To, co opowiadałeś mi wczoraj. To nie może być prawda…!

— Proszę cię, Rose. — Usiadł koło niej i położył jej rękę na ramionach. — Musisz wiedzieć, że spotkała nas naprawdę wspaniała rzecz, że mamy Walta… że dzięki nam przyszedł on na świat, ponieważ dokona czegoś naprawdę wielkiego dla całej ludzkości.

— Ja po prostu nie potrafię myśleć o tym w ten sposób. Po prostu nie mogę. On jest moim dzieckiem.

— Tak — szorstko przypomniał jej Starbrook. — Moim również.

Zastanawiał się, jak długo to jeszcze potrwa. Przeziębienie Walta wkrótce poprawiło się na tyle, by mógł on wrócić do szkoły. Regularnie przynosił do domu nowe książki z Działu dla Dzieci, w tempie regulowanym przez mutantów.

Starbrook szaleńczo pracował, by dotrzymać kroku Waltowi w zrozumieniu nowej wiedzy przedstawianej w żałośnie niewielkich skrawkach i zwykłych prezentacjach wprowadzających. W znacznym stopniu musiał teraz polegać na tłumaczeniach Walta i praca nad rejestracją informacji na taśmach, szła wolno, nawet przy pomocy Walta w czytaniu i segregacji materiału.

Z narastającym napięciem, Starbrook zaczął cieszyć się każdym dniem, tak jakby miał to być dzień ostatni. Próbował wyciskać esencję życia z każdej mijającej chwili, ponieważ wiedział, że teraz niemal w każdym momencie mutanci mogą ujawnić swoje zamiary co do Walta i zażądać go do własnych celów. A wtedy coś w Starbrooku umrze na zawsze.

Jego podziw dla Rose, nieustannie się zwiększał, w miarę jak z zawziętością kontynuowała swoją naukę języka mutantów. Początkowo, wydawał on jej się łatwy, ale teraz stało się już oczywiste, że nigdy nie wyjdzie poza książki dla początkujących, w których sytuacja porozrzucanych po całej Ziemi mutantów, prezentowana była w formie fantazji i alegorii.

Starbrook, jednak, zupełnie nie był przygotowany na zmianę, jaka coraz wyraźniej zachodziła w Rose, w miarę jak mijały kolejne dni. Strach z wolna ustępował w niej miejsca dziwnemu spokojowi, niemal rezygnacji, która sama w sobie jakoś przerażała Starbrooka. Wydawało się, jakby na tych stronach znalazła swój własny sekret, którego nie odkrył ani on, ani Walt.

Chciał ją o to zapytać, ale wiedział, że kiedy te nowe uczucia dotrą do jej świadomości, sama mu o tym powie.

Tak też zrobiła. Stało się to mniej więcej dwa tygodnie po tym, jak Walt zaczął znowu chodzić do szkoły. Siedzieli wtedy razem, we wczesnym zmierzchu na frontowych schodkach domu, patrząc na Walta odjeżdżającego na rowerze, aby pograć w koszykówkę, w położonym dwie przecznice dalej parku.

— Będziemy za nim tęsknić — nagle odezwała się Rose, — ale wspomnienia będą dla nas pocieszeniem.

— Rose!

— Zdaje się, że właśnie zrozumiałam to, o czym historie w książkach tych waszych mutantów mówiły przez cały czas. Czytałam je w kółko i nie potrafiłam wyjść poza same opowieści, ale teraz już je rozumiem.

— Co takiego rozumiesz? — spytał ją Starbrook.

— Rozumiem, że Walt jest odmienny. Myślę, że tak naprawdę, zawsze o tym wiedziałam. Nie chodzi tutaj tylko o tę jego wyższą inteligencję, ale także o inne sprawy. Teraz już rozumiem, że on jest jednym z tych samotnych ludzi, którym zesłano na świat tę książkę. Wiem, że jeśli nie dołączy do podobnych sobie, zawsze będzie samotny, zaś jego życie pójdzie na marne. Nie chcę dla niego czegoś takiego, niezależnie od tego ile bólu mogłoby spowodować jego odesłanie.

— I przekonała ciebie do tego ta… opowieść?

Starbrook zadumał się nad siłą semantyczną języka mutantów. Może nigdy nie pozna tajemnicy stojącej za jego zdolnością dostosowywania woli człowieka do życzeń piszących, ale zdawał sobie sprawę, że ewidentnie wymagało to olbrzymiej wiedzy naukowej, o której w jego stuleciu, nawet się jeszcze nikomu nie śniło. Semantyka, która była w

stanie zredukować obawy Rose, zmieniając je w łagodny spokój i przekonać ją, że jej jedyne dziecko musi zostać poświęcone dla zapewnienia jakiejś bliżej nieznanej przyszłości rasy. Jeszcze nie było wiedzy o tego rodzaju oddziaływaniach…

Powiedział do niej:

— Waltowi byłoby łatwiej, gdyby wiedział, że chciałabyś, aby podążał ścieżką swego własnego przeznaczenia.

— Mieliśmy go przez dziesięć szczęśliwych lat. To dużo. Kiedy mu o tym wszystkim powiedzą?

— Nie wiem. Kiedy tylko uznają, że jest gotowy. Teraz, to może być już w każdej chwili.

Starbrook wmawiał sobie, że jest przygotowany, ale kiedy ta chwila nadeszła, zrozumiał, że nigdy nie będzie w stanie przyjąć tego faktu w sposób pozbawiony emocji.

To było dokładnie następnego dnia. Wrócił z fabryki do domu i znalazł Walta oraz Rose siedzących razem w salonie. Coś go szarpnęło za serce, na widok ich bladych twarzy. Oboje byli zapłakani.

— Powiedzieli mi dzisiaj o wszystkim — zaczął Walt, nie czekając na jego słowa. — Powiedzieli mi o wszystkim, o czym już wiedziałeś od dawna.

Starbrook walczył z ogromną kulą w gardle.

— Tak, wiedziałem. Czekałem, aż będziesz gotowy.

— Ale ty nie idziesz ze mną? — Walt wodził wzrokiem z pełną cierpienia rozpaczą od swego ojca do matki i z powrotem. — Ja zawsze myślałem, że skoro ty także umiesz czytać te książki… że jesteś taki jak ja…

Starbrook pokręcił głową i uśmiechnął się blado.

— Nie. Ja jestem tylko jakimś wybrykiem natury, na który nigdy wcześniej jeszcze się nie natknęli. Na nic im się nie przydam, a więc nie mam zamiaru odchodzić. Poza tym, twoja matka będzie mnie potrzebować…

— Będę tęsknił za tobą… ! — Z jego poczerwieniałych oczu znowu popłynęły łzy.

— Nie będziesz sam — powiedział Starbrook ze spokojem, który zaskakiwał nawet jego samego. — To właśnie dlatego odchodzisz. Gdybyś został tutaj, byłbyś najbardziej samotnym człowiekiem na świecie, ponieważ masz setki talentów i zdolności, które mogłyby być tylko tłamszone i dławione. Nikt by cię nie rozumiał, gardzono by tobą z powodu twoich wyższych możliwości i całe twoje życie byłoby jedną rzeką goryczy. W miejscu, do którego się udajesz, będzie dużo lepiej. Oni cię zrozumieją i będą tacy jak ty.

— Tak, wiem o tym — odparł cichym głosem Walt, — ale bez was pomimo wszystko będę samotny…

To minie, pomyślał Starbrook. To musi minąć. W końcu, to będzie najlepsze rozwiązanie. Zdawał sobie sprawę, że to, co powiedział synowi, było prawdą.

— Nie musisz odchodzić… — zauważył.

— Och, ale ja chcę! Tylko w tej chwili, to jest bardzo trudne…

Starbrook chciał wiedzieć tylko to. Uśmiechnął się z aprobatą.

— Czy wiesz już, kiedy?

— Zaraz. Dzisiaj w nocy!

— Dzisiaj! — Wszystkie bariery obronne Starbrooka zawaliły się pod naporem tego jednego słowa.

— Zaledwie za parę godzin. Wydarzył się jakiś nagły wypadek. Tak dokładnie, nie wiem co. Muszą natychmiast przemieścić Dział dla Dzieci do jakiegoś innego stulecia – chodzi o coś związanego z wychwyceniem ważnego mutanta, gdzieś w przyszłości, który właśnie ma zostać zniszczony. Powstrzymali przemieszczenie specjalnie dla mnie.

— A więc, mamy czas na wspólną kolację — oznajmił Starbrook. — Niech będą to chwile, godne zapamiętania.

— Wszystko jest już gotowe — odparła Rose, ocierając oczy. — Czekaliśmy tylko na ciebie.

To były chwile godne zapamiętania – i chwile pełne wspomnień. Razem cofnęli się w czasie i wybierali perełki z setek przebłysków szczęścia, jakie razem przeżyli. Wracali do nich, pieszcząc je, cyzelując, gromadząc je w pamięci.

I chwile te szybko przeminęły.

Walt popatrzył na zegar.

— Muszę już iść.

Wsiedli do samochodu i Starbrook powoli odjechał od krawężnika. Z każdą mijającą chwilą, zdawało się, że wali się na niego kolejne uderzenie świadomości nieuniknionego – świadomości tego, że Walt już nie wróci razem z nimi do domu Te domy, ta ulica, ci przyjaciele machający do Walta z chodników, nigdy więcej nie doświadczą już jego obecności. I nagle Starbrook zaczął się zastanawiać, w jaki sposób wyjaśni jego nieobecność…

Dobiegające do nich odgłosy otoczenia, wydawały się dziwnie przytłumione, a samochód bezgłośnie płynął przez przestrzeń, tak jakby wszystko to działo się we śnie. Niemal, jak gdyby bez udziału świadomości Starbrooka, trasa którą wybrał, doprowadziła ich do kampusu uczelnianego i wkrótce zatrzymali się przed biblioteką, rozświetloną jasnymi oknami głównej czytelni.

— Może chcecie wejść ze mną do środka? — z wahaniem zapytał Walt.

— Oczywiście, że wejdziemy — oznajmiła spokojnym głosem Rose.

Starbrook pamiętał, że nigdy nie widziała wejścia do Działu dla Dzieci. Zastanawiał się, czy będzie dla niej widoczne.

Wzięli Walta między siebie i powoli zmierzali w stronę budynku.

— Ojej, tato — nagle odezwał się Walt. — Zapomniałem schować swój rower. Wygląda, że będzie padać. Zrobisz to za mnie?

— Tak. Tak… pewnie…

Daremność tej prośby przemknęła przez nich duszącą falą zniszczenia. W milczeniu wspięli się po schodach i weszli do foyer.

— To tutaj — Starbrook dotknął ręki żony.

— Gdzie? Niczego tutaj nie wiedzę. Ale, oczywiście…

Wskazał jej ręką inskrypcję nad drzwiami.

Pokręciła przecząco głową.

— Kompletnie nie mogę tego zrozumieć. To przecież pusta ściana, Bill! Jak mogą tutaj być jakieś drzwi, skoro ja ich w ogóle nie wiedzę…?

Część dawnych lęków wróciła do jej oczu.

— One tutaj są. W tej chwili Walt idzie w ich stronę. Może zniknąć dla twoich oczu.

Chłopiec odwrócił się, aby po raz ostatni obejrzeć się na nich. Uśmiechnął się ciepło i pokrzepiająco podniósł rękę do góry. Potem wszedł do pomieszczenia.

Kiedy zginął Rose z oczu, z jej ust wyrwał się cichy szloch.

— Bill… czy ty go widzisz? Gdzie on poszedł?

— Jest już w środku, kochanie. Rozmawia z panną Edythe i doktorem Rogersem. Tam jest też mnóstwo innych dzieci. Jest jakiś chiński chłopiec, paru z nich wygląda na Europejczyków. Do tej biblioteki muszą prowadzić drzwi rozrzucone po całym świecie.

— A co Walt robi teraz?

— Po prostu czeka. Doktor Rogers trzyma mu rękę na ramieniu. Wygląda na szczęśliwego, kochanie. Wszystko jest tak, jak powinno.

Nagle, kiedy to mówił, drzwi do Działu dla Dzieci, zaczęły rozmywać się i robić się coraz bardziej mleczne. Falowały i rozpływały się, jakby zawodził go wzrok. Impulsywnie zrobił krok do przodu i pomachał ręką. Dostrzegł twarz Walta, radosną i uśmiechniętą, a jego ręka machała mu na pożegnanie.

— On odszedł.

Rose oparła się mocno o niego. Jej twarz utonęła w jego ramieniu i przez chwilę stała, łkając w niekontrolowany sposób. Potem w końcu uniosła głowę i popatrzyła na Starbrooka. Jej oczy błyszczały, mimo widocznej w nich tęsknoty.

— Przepraszam cię, Bill. Nie byłam w stanie się powstrzymać.

— Wracamy już do domu?

Ruszyli w dół po schodach, w lekkiej mżawce, która właśnie się rozpadała.

— Pada — powiedziała Rose. — A rower Walta ciągle jest na dworze. Nie zapomnij schować go do domu za niego.

Tak, pomyślał Starbrook. Nie mogę o tym zapomnieć. To ostatnia rzecz, jaką mogę dla niego zrobić.

Popatrzył w stronę jezdni, na ich samochód, który pozostawili pusty. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że to się zmieniło. Na tylnym siedzeniu znajdowała się jakaś postać, wyglądająca na niech przez okno twarz.

Rose także ją zobaczyła i krzyknęła w chwili strachu.

Przez Starbrooka przebiegł mroźny dreszcz grozy.

Homolog.

Całkiem o nim zapomniał. Myślał, że Rogers zniszczył go, kiedy powiedział mu, że go nie chce.

Zamknął na chwilę oczy i modlił się w myślach, żeby ten koszmarny potwór, ta parodia Walta, zniknęła…

Spoglądał na nich oczyma Walta, miał twarz Walta, a na jego wargach widoczny był uśmiech Walta.

I zawołał na nich.

Głosem Walta.

— Pośpieszyłem się i szybko dostałem swoje książki. Myślałem, że chcecie natychmiast wracać do domu. Musimy się pośpieszyć, bo zostawiłem swój rower na dworze, na deszczu.

Ciasny węzeł we wnętrzu Starbrooka zdawał się mięknąć. To nie była ta wpatrująca się, pusta twarz, którą widział wtedy w laboratorium Rogersa. Pamiętał, że Rogers ostrzegał go, że homolog nie jest jeszcze ukończony. Mówił, że kiedy to się stanie, każde uczucie, każda emocja, każde wspomnienie, będzie pochodziło od Walta. Będzie reagował, pod każdym względem, dokładnie tak samo, jak zareagowałby Walt.

A Rose nie widziała homologa przed jego ukończeniem. Znaczna część początkowego wstrząsu zniknęła z jej twarzy, kiedy zobaczyła kto to jest. Powoli ruszyła naprzód.

— To Walt — powiedziała, na wpół szeptem. — W każdym razie, to cała część Walta, jaka może być nasza. A z tego co mi mówiłeś myślałam, że to będzie jakaś prymitywna mechaniczna rzecz. Kochanie, oni zabrali swojego mutanta i oddali nam naszego syna!

Kontrola semantyczna – spełnienie życzeń – cokolwiek by to nie było, pomyślał Starbrook, inaczej Rose, która nie potrafiła czytać książek mutantów, nie zaakceptowałaby homologa tak chętnie.

A ponadto… być może jakiś wpływ wywarli również na niego – czemu nie? Czyż ten homolog nie był wszystkim tym, czym był Walt? Dokładny wzorzec jego instynktów, reakcji, emocji, wspomnień. Cóż innego jeszcze stanowiło ludzką istotę?

Nawet pytanie o tożsamość, zdawało się tracić swoje znaczeniu, kiedy przypomniał sobie ostatni widok Walta, całego zadowolonego i szczęśliwego wśród innych mutantów, mających rozpocząć swoją długą podróż.

Homolog wysiadł z samochodu. Podbiegł do nich, kiedy szli powoli w jego stronę.

— Co się stało? Mamo… tato, wyglądacie tak jakoś dziwnie. Czy coś jest może nie tak?

Starbrook uśmiechnął się do niego.

— Nic, absolutnie nic… synku. Twoja mama i ja tylko rozmyślaliśmy sobie, jakimi szczęśliwymi ludźmi jesteśmy – na tak wiele sposobów. No dalej, lepiej już jedźmy do domu i zabierzmy ten rower z deszczu.

KONIEC